



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Do art. „Skroplone powietrze” (rys. I. fig. 1—9).

Władysław Umiński.

SKROPLONE POWIETRZE.

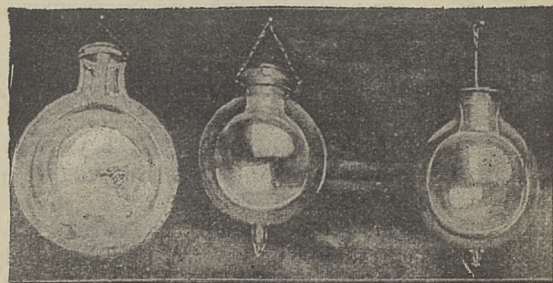
Ustnieje bardzo dużo gazów, które dają się łatwo skraplać, t. j. zamieniać na płyn. Do rzędu takich gazów należy amoniak, ten sam, którego roztwór wodny kupujemy w aptekach; dalej chlor zielonawo-żółty, posiadający własności odbarwiający, kwas węglany, nadający ostrość wodzie sodowej, piwu i szampanowi i t. d.

Ażeby powyższe gazy zamienić na płyny, dość jest poddać je w zwykłej temperaturze ciśnieniu w zamkniętych naczyniach. Ciśnienie to dla kwasu węglanego nie przekracza czterdziestu kilku atmosfer*); dla chloru zaś i amoniaku wystarcza jeszcze mniejsze.

Do niedawna dzielono wszystkie znane gazy na dwie kategorie: do jednej zaliczono te, które się dają skraplać, do drugiej włączono t. z. stałe, nie pozwalające się zamienić w płyn, ani za pomocą ciśnienia ani oziębiania; należał tutaj tlen, azot, wodor, gaz błotny i kilka innych, mniej znanych, jak heljum.

Opierały się one skutecznie przez długi czas wszelkim usiłowaniom fizyków, którzy chcieli je podciągnąć pod ogólne prawo. Poddawano je bezowocnie ciśnieniu stu, dwustu i trzystu atmosfer, oziębiając przytem do kilkudziesięciu stopni. Dopiero jednak nasi uczeni krakowscy, mianowicie ś. p. Wróblewski i żyjący jego współpracownik p. Franciszek Olszewski, zdołali pokonać trudności, o które rozbijała się energia francuskich, angielskich i niemieckich badaczy. Polska nauka odniosła tryumf, zapisany dużemi zgłoskami na kartach historii wiedzy i tylko ignorancja francuska i zła wola niemiecka pozwalają sobie pomijać milczeniem ten fakt i wkładać niezaskuszenie wieniec laurowy na czoła naśladowców Wróblewskiego, takich jak Cailletet i Pictet, Linde, Dewer. O tem młodzież polska winna pamiętać. Dwaj ostatni uczeni ulepszyli tylko sposoby wynalazione przez naszych rodaków i zbudowali przyrządy, pozwalające otrzymać płynne powietrze, lub jego części składowe na dużą skalę.

Dziś więc nie ma już gazów stałych, czyli trwałych, bo wszystkie nie wyłączając nawet najoporniejszego z pomiędzy nich wodorodu, potrafimy dziś skraplać. Przypatrzmy się teraz własnościom tak dziwnego płynu, jak powietrze płynne. W tym stanie powietrze zajmuje objętość ośmset razy mniejszą, aniżeli wtedy, gdy jest gazem i przedstawia się, jako płyn ruchliwy, niebieskawy, albowiem wchodzący w skład mieszaniny tlen, odznacza się tą barwą.



Skroplone powietrze w butelkach.

*) Ciśnienie atmosferyczne odpowiada ciśnieniu 16 $\frac{1}{2}$ funta na cal kwadratowy albo 1 kg. około na 1 centymetr kwadratowy.

Płyn ten posiada zastraszająco niską, nigdzie na kuli ziemskiej nie spotykaną temperaturę 194 stopni Celsjusza poniżej zera. Przy 191° C. płynne powietrze zaczyna już wrzeć, zamieniając się w parę, czyli w zwyczajne powietrze, które ciężką chmurą wypelza z naczynia na stół lub podłogę.

Pokój jest więc dlań niejako wielkim piecem w którym mu strasznie gorąco.

Chcąc tedy przechowywać płynne powietrze przez dłuższy czas, należy trzymać w naczyniu szklanem obwiniętem w grubą warstwę wełny i składajacem się z dwóch flaszek, oddzielonych przestrzenią, pozbawioną zupełnie powietrza, czyli próżnią barometryczną, która nie przepuszcza ciepła. Fłaszki takie widzimy na fig. 8. Rys. I.

W naczyniu z białej blachy, owiniętem w wołok, płynne powietrze utrzymuje się także dość długo i porcja dziesięcio litrowa (litr = kwarcie) może stać przez dziesięć godzin, zanim się zupełnie ulotni.

Ponieważ szklanka czy butelka, zawierająca skroplone powietrze, jest bardzo zimną, więc na jej powierzchni niebawem osadza się wilgoć atmosferyczna, tworząca grubą powłokę lodu.

Niebaczny, któryby dotknął płynnego powietrza dozna oparzenia daleko boleśniejszego aniżeli od rozpalonego żelaza; Gictelowi raz upadła na rękę kropla tej cieczy i spowodowała ranę, która przez pół roku nie chciała się zagoić. A teraz zróbmy kilka nadzwyczaj pouczających doświadczeń.

Rys. 4 fig. 1 przedstawia miedzianą rurkę, do której nalewamy łyżkę skroplonego powietrza i zabijamy niezwłocznie kolkiem drewnianym.

Zaledwie to uczyniliśmy, zatyczka wyskakuje z głośnym hukiem i uderza silnie o sufit.

Co się stało? oto w zetknięciu ze ścianami rurki powietrze w jednej chwili zamieniło się na gaz, zajmujący ośmset razy większą objętość i nie mogąc się pomieścić w ciasnej przestrzeni, wyrzuciło zatyczkę, tak jak spalony proch wysadza z lufy kulę. To nas uczy, że niepodobna prawie zbudować tak mocnych naczyń, aby te mogły opierać się ciśnieniu powietrza płynnego, zamkniętego w nich szczelnie przy temperaturze zwykłej. Zostałyby one rozerwanemi, jak granaty napełnione dynamitem.

Weźmy rondelkę blaszany, albo garczek żelazny i włóżmy do płynnego powietrza; w skutek zetknięcia z tak zimną cieczą, żelazo staje się niesłychanie kruchem i dość upuścić taki rondelkę na ziemię, aby roztrzaskał się na drobne kawałki (rys. I fig. 3).

Temu samemu losowi ulega piłka gumowa, którą widzimy pływającą w naczyniu, zawierającym skroplone powietrze (rys. I fig. 7). Rzućmy ją o ścianę, a rozprysnie się, jakby szklana kula.

Zanurzmy w szklance koniaku rurkę, z płynnem powietrzem, a przekonamy się ze zdziwieniem, że ten napój, opierający się najsilniejszym mrozom zetnie się po upływie kilkunastu sekund w bryłę lodu, tak samo i alkohol; można taką bryłę wydobyć ze szklanki, ogrzewając ją lekko z zewnątrz i podać na talerzu, jak lody. Tylko nie radzilibyśmy wziąć w usta kawałka zamrożonego w ten sposób koniaku; niebaczny smakosz poparzyłby sobie wargi.

Kwas węglany, tworzący się przy spalaniu węgla, a będący związkami chemicznym tego pierwiastka z tlenem, w jednej chwili ścina się na biały śnieg, jeżeli skierować jego strumień w szklankę z płynnem powietrzem.

Tak samo zamienia się w białe kryształki dym z cygara lub papierosa, składa się on bowiem w znacznej części z kwasu węglanego.

Napełniliśmy skroplonem powietrzem imbryk i stawiamy go na rozżarzonych węglach; spostrzegamy natychmiast, że dno jego i ściany zewnętrzne pokrywają się jakby białym śniegiem. Nie jest to jednak śnieg, tylko — kwas węglany, który, tworząc się z tlejących węgli, ścina się natychmiast w zetknięciu z zimnym imbryczkiem. Widok, przyznacie sami, oryginalny.

(d. n.)

Jan Niewdzyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się starosta — a to ci za płacił!

— No, dosyć już tego błazeństwa — zawołał podskarbi — złaż z ławy, i dalej z innymi do roboty!

— Dobrzeć, że sobie dajesz naukę, mój stary, nie widzę bo nikogo oprócz ciebie, ktoby błaznował — rzekł Niewdzyd.

— Zabieraj się więc, jakoś rzekł do roboty a przyślij mi tu posiłek, dyabło jestem głodny, a jeżeli mi się będzie widziało, to i starostę do jadła przypuszczę — mówił dalej zupełnie seryo Niewdzyd.

Podskarbi, nie chcąc się narażać na dalsze żarty i śmiechy, odszedł stuliwszy, jak mówią, uszy, a starosta rozbawiony jego potulną miną, począł się śmiać głośno po swojemu, patrząc beznamiętnym wzrokiem na dowcipnisia.

— No, no, mości starosto, nie patrzaj i nie dziwuj mi się, jak wrona kiedy gnat obaczy, jeno skocz po rozum do głowy, a zbieraj się też do podróży, boć dość już pono tej zabawy! — zawołał Jasiiek.

I owinawszy się w swój płaszcz czerwony, rozsiadł się wygodnie, o ile na to pozwoliły rozlatujące się deski, urządzanego dlań wzniesienia.

— A to dopiero pocieszna z ciebie bestya — rzekł starosta, biorąc za dobrą monetę żarty swego dworzaniina. — A toć ja ciebie zrobię błaznem na moim dworze! — zawołał, patrząc głupowatemi swemi oczyma na siedzącego poważnie Niewdzyda.

— I o tych najnsadniej na każdym dworze — rzekł Niewdzyd, przymykając oczy.

— Jasiiek, Jasiiek, bodaj, że ci się w głowie przewróciło! — mówił, śmiejąc się starosta.

— Bodaj, że nie, boć niedawno jestem między wami — odciął się chłopiec.

— A ty, nieponiu, co robisz! precz mi stąd zaraz! — zawołał do skradającego się pachofka i usiłującego cichaczem wyciągnąć z pod niego ławę.

Pachofek umknął, nie dokonawszy zdrady, a Niewdzyd zwrócił się do starosty:

— Nie wiem, jakim tam prawem zostałem królem, aleć to wiem, że próżniactwa w mojem królestwie nie ścierpię, a wam, mości starosto, nim kury zapieją, radzę być już w swojej kolasie, a ja też na jakim podjezdku pospieszę, jeno mi każ dać dobrego!

— Wina! — zawołał na cały głos starosta, klasnąwszy w dłonie.

Zapomniał bowiem o chwilowym przestraczu, jakim go nabawił skupiający się około niego tłum i rad był zabawiać się dalej gadaniną młodego chłopca.

Lecz ten nie wychodząc ze swej roli zawołał:

— Nie trzeba wina, to napój co rozum odbiera, a nie godzi nam się pozbywać tego, czego nadto nie mamy. Podjeść to i owszem, boć sił na drogę potrzeba — dodał.

I zszedłszy ze swego wywyższenia, owinął się opończą, a wlokąc ją za sobą po brudnym podwórku, wszedł razem ze starostą do podróżnej komnaty, nie porzucając ani na chwilę przyjętej, a raczej włożonej nań poniewolnie roli.

Starosta wciąż dowcipkował, podniecając tem jeszcze więcej rozgrzanego wyjątkową sytuacją młodzieńca. Śmiał

się też przytem pan Fortunat swoim bezwiednym śmiechem, któremu, gdy się raz poddał, nie łatwo można go było od takowego powstrzymać.

— Jeść, a dużo! — zawołał, wchodząc. — Dla mnie i dla króla — dodał, wskazując na kroczonego z powagą Niewdzyda.

Podskarbi, dworzanie i pachołcy, widząc starostę w dobrym humorze, a przytem wielce łaskawego na ofiarę ich niedawnej zabawy, ze zdziwieniem nań spoglądali. Teraz już stanowczo nie wiedzieli co myśleć i jak dalej postępować, a nawet powątpiewali, czy nie śnią przypadkiem, lub czy cała ta zabawa nie jest dziełem jakiejś złej siły.

— A ja wam powiadam, że w tym przybyszu dyabeł siedzi.

— Dyabeł, czy nie, ale to widoczne, że on ma łeb nie tylko do czapki — szepnął Jacek.

— Jeno i do guzów! — rzekł niechętnie Dyżma.

— A może to naprawdę królewicz, jenó gdzie zdala wychowywany dla niepoznaki — rzekł ktoś przyciszonym głosem.

— Może, może — powtórzono — toć to o takich w baśniach opowiadają.

— Cóż to stoicie, jak drągi, nie słyszycie, że jaśnie wielmożny starosta woła, żeby stół zastawiono! — huknął ze złością podskarbi, popierając swój rozkaz kułakiem w plecy najbliższej stojącego.

Dworzanie i pachołcy ruszyli się, by spełnić rozkaz, a pan Stępka, przybrawszy najsłodszy wyraz twarzy, wsunął się do komnaty za swym chlebobawcą.

— Widzisz — zawołał starosta — to nam się udało — będziemy mieli doskonałego błazna — dodał wskazując na Niewdzyda, stojącego jeszcze w czerwonej opończy.

— Nie, jaśnie wielmożny starosto — zawołał młodzieniec — jenó chciałbym świat zobaczyć, a też gdy wojna się przygodzi, iść razem z innymi.

— Patrzcie, jaki mi wojak! — rozśmiał się starosta.

— Wszystko już do podróży gotowe — rzekł podskarbi chcąc przerwać dalszą rozmowę. — Jaśnie wielmożny starosta pewnie zechce nocą jechać, dla uniknięcia upału... — dodał.

— A tak, tak, dla uniknięcia upału! — powtórzył starosta.

— Sprawa publiczna przedewszystkiem! — dodał puszczając się, choć nie wiedział, sam przed sobą, podskarbiem, czy też przed patrzącym nań badawco młokosem.

— Ale dawajcie jeść, bo choć de publicis najpierwszą dla mnie sprawą, przecie jej służyć należyście nie można, gdy grzeszne ciało zwątleje.

Wniesiono też właśnie w tej chwili dymiące misy i pełne dzbany, a starosta zabrawszy się do nich, zapomniał o sprawie publicznej i zajął się pożywianiem grzesznego ciała.

Ze zaś sam jeść nie lubił, a podskarbi, którego w podróży spotykał honor zasiadania do pańskiego stołu, zajęty był przygotowaniem do jaknajspieszniejszego wyjazdu, zawołał więc na Niewdzyda:

— Siadaj, może w twej wojaczce zostaniesz hetmanem, to ci się godzi jeść dzisiaj z jaśnie wielmożnym starostą.

Jasiek nie dał się prosić i ku wielkiemu zgorzeniu Dyżmy, usługującemu jak zwykle starości przy jedzeniu, zasiadł do stołu, jakby mu się to z prawa należało. Zmiał też tak doskonale, że nawet zapomniał o odpowiadaniu na dowcipy pana Fortunata.

Dyżma patrzył na nowego towarzysza, jakby go chciał polknąć, a gdyby mógł byłby mu pierwszą lepszą kość w gardło wtłoczył, ażeby „dyabła” jak go nazywał, odrazu zadławić.

— Należ tu przyszłemu dygnitarzowi wina! — zawołał śmiejąc się starosta.

— Ba, choćby gorącej smoły! — zawołał Dyżma, nachylając dzbana nad blaszany kubkiem.

— Ej, Dyżma nie wojuj! bo jak się nauczy szablą machać, to ci głowę z tłustego karku jak cieleciu odkroi — zaśmiał się starosta.

Niewdzyd zaś spojrzawszy swemi ciemnymi oczami tak przenikliwie na stąpającego leniwie dworaka, że ten nie wiedzieć nawet dla czego, oczy odeń odwrócił.

— Pij, ty dygnitarzu! — zawołał starosta, wychylając kubek i zachęcając doń skromnego swego towarzysza.

— Bóg zapłać — odrzekł tenże krótko.

— Taki to z ciebie szlachcie — zawołał starosta.

— A cóż to, nie wiesz, że to taki obyczaj u szlachty, że każdy powinien nalany puhar do dna wychylić.

— Złyć to obyczaj, bo szlachcie rozum i pamięć odbiera — odparł chłopiec.

I przypomniawszy sobie ów napitek przez podskarbiego podany, z pewną niechęcią odsunął się od stołu.

— Ostrożna z ciebie ryba! — zaśmiał się starosta i wychylił trzeci już z rzędu kubek, podstawiając zaraz próżny, który Dyżma skwapliwie napełnił. W miarę wychylanych kubków, starosta stawał się milczącym, tylko śmiał się coraz głośniej. Z czasem jednak i śmiać się przestał, a gdy wszedł podskarbi, zastał jaśnie wielmożnego starostę leżącego jak bez duszy na ławie, a jego wiernego Dyżmę pod ławą.

Nie było jednak obawy o drogocenne życie jaśnie wielmożnego starosty, jako i o nieustępującego mu w swej wielkiej wartości dworzanina. Obadwaj objawiali głośnie mędractwem, że duch ich nie opuścił grzesznego ciała, lecz tylko odpoczywa chwilowo po dniu tak pracowicie spędzonym.

Podskarbi spojrzawszy ze wzgardą na leżących i obejrzał się po izbie.

W kącie siedział Niewdzyd, który z opartą głową na dłoni zdawał się drzeć.

Czuwał snąc jednak, bo zaraz zerwał się na nogi, spoglądając bacznie na podskarbiego.

— A ty nie upiłeś się? — zapytał go pogardliwie Stępka.

— Mam już dosyć poczęstunku podskarbiego — odparł młodzieniec.

— Gawronie jakiś, zamiast być wdzięcznym, żem cię do łaski jaśnie wielmożnego starosty wprowadził, to jeszcze mrućysz! — odrzekł podskarbi.

I nie wdając się w dalszą rozmowę rzucił niechętnie spojrzenie nowemu dworzaninowi. W duszy zaś dodał:

— Poczekaj, ty wilku, ja ci się tak przysłużę, że w lochu zgnijesz.

Niewdzyd widząc, że starosta spoczywa snem twarzym i nie będzie go potrzebował, wybiegł na dziedziniec.

Tu gwar, hałas, siodłanie koni, zaprzaganie wozów, kłątwa i śmiechy ze wszystkich stron dolatywały jego uszu. Wśród cichej czerwcowej nocy hałas ten jeszcze więcej się rozlegał. Chłopiec nie mógł jednak dopatrzeć kto, gdzie, i co robi. Chmurne, ciemne niebo zawisło nad ziemią, osłaniając ludzi, ich zamiary i czyny.

Wśród tego gwaru dosłyszał tylko głos podskarbiego:

— Będziesz świadczył?

— Dasz sto dukatów! — odparł drugi.

— Pięćdziesiąt — rzucił podskarbi.

— Nie!

— To nie — odrzekł Stępka.

— Panie podskarbi — zawołał głos drugi i podniósł dotąd ukrywany pod opończą kaganek, przy świetle którego Niewdzyd poznał Bodziecha, gospodarza zajazdu.

— Ani halerza więcej! — rzekł Stępka, odchodząc spiesznie.

— Nie o halerz, lecz o zapłatę za postój idzie! — odparł Bodziecha.

— Dosyć ci honoru, że jaśnie wielmożny starosta raczył z dworem swoim stanąć u ciebie — rzekł, nie zatrzymując się podskarbi.

Lecz winiarz nie dał za wygraną; rzucił kaganek, pobiegł za idącym tuż pod domem Stępką i pochwyciwszy go za kark, zawołał z najwyższą złością.

— Ty złodzieju, psubracie, okradasz swego pana, myślisz że ci się pozwolę ukrzywdzić!

— Idź do dyabła! — zawołał podskarbi, usiłując się wyrwać z rąk Bodziecha.

— Ty sam idź na dno piekła! — wrzasnął winiarz tak głośno, że ludzie siodłający konie w podwórca, zaczęli się śmiać, wołając:

— Hej, jakaś kłótnia, bodaj będzie i bitka!

Stępka zaś usłyszawszy śmiechy, widząc przytem, że nie łatwo się oswobodzi z silnych ramion winiarza, zawołał:

— Że też ty bracie na żartach się nie znasz!

— Twoim bratem belzebub chyba, ale nie ja! — krzy-

i rozmyślał, którą stroną najlepiej będzie wyjść z tego piekła.

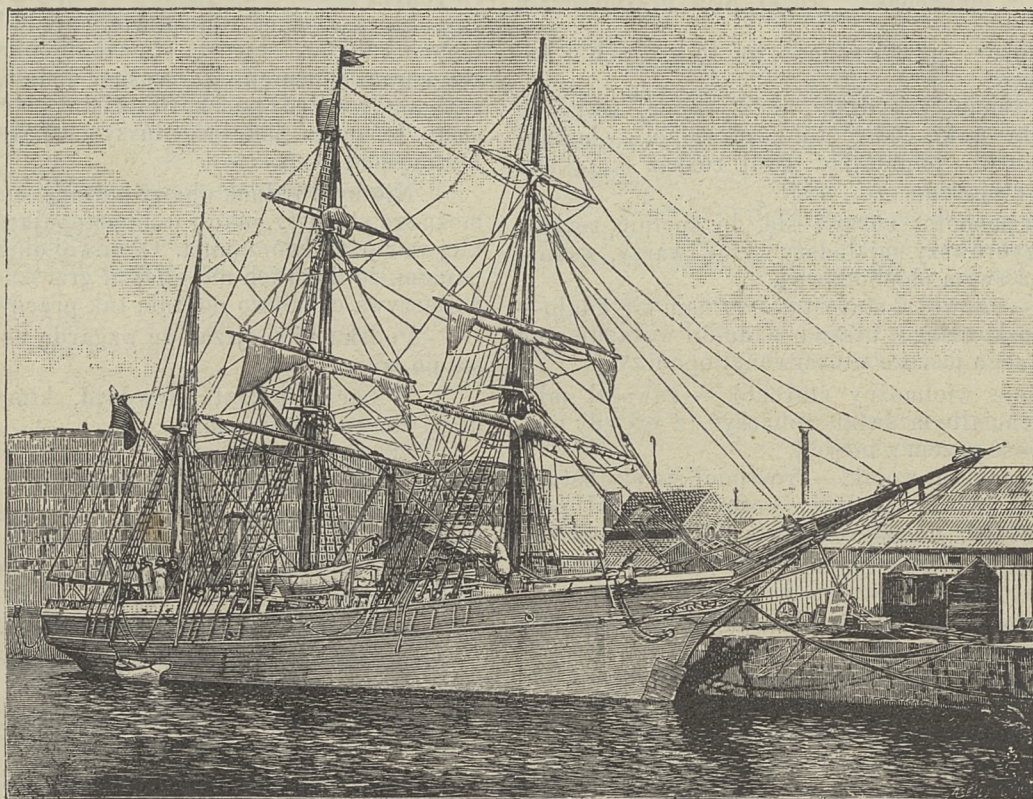
Spojrzał w niebo; ciemno było do koła, tylko tam da leko, daleko, ukazała się maleńka złota gwiazdeczka, która jakby światło nadziei zabłysła przed oczami zgnębionego wszystkiem co się koło niego działo, młodzieńca.

— O moja matusiu, pomódl się tam za mną do Boga abym uszedł z tego piekła! — wołał w duszy, wpatrując się w jedyną świecą gwiazdkę na ciemnym niebie.

— Tak, to moja matusia mruga tam na mnie — myślał sobie dalej, usiłując się precyzyjnie przez częstokół.

— Pójdźże, coprędzej! — zawołał Jacek chwytając go za ramię. — Starosta kazał cię szukać na wszystkich stronach — dodał.

Niewdźyd, złapany na gorącym uczynku ucieczki



Trójmasztowiec Belgica (Wyprawa do bieg. połud. str. 174).

czął nieprzejednany Bodziech, nie wypuszczając swojej ofiary.

— Bodziech, Bodziech, co ci do głowy strzeliło, czyś oszalał, czy to my się od dzisiaj znamy! Toć ja bym ci własnej krwi nie pożałował, a dopieroż zapłaty! — wołał śmiejąc się przymuszonym śmiechem podskarbi.

Co tam winiarz odpowiedział, Niewdźyd już nie słyszał, tylko po chwili w cieniu nocy ujrzał go idącego z podskarbiem tuż przy przyźbie zajazdu; Bodziech jednak trzymał silnie za ramię podskarbiego, który wciąż powtarzał:

— Ależ bracie, trzeba się znać na żartach, wszakem cię jeszcze nigdy nie ukrzywdził.

I obadwaj zniknęli w ciemnej sieni, a Niewdźyd stojący za wielką beczką, wyrzuconą po wczorajszej uczcie, wyszedł spiesźnie z ukrycia, chcąc wydostać się z podwórca.

— Ucieknę ucieknę, gdzie mnie oczy poniosą — rzekł sobie w duchu.

Lecz wydostać się z podwórca zapchanego ludźmi, końmi i wozami, nie było tak łatwo, stanął więc u węgła

chcąc nie chcąc musiał podążyć, za trzymającym go po ramię towarzyszem.

— A pójdźże ty przyszły hetmanie, a może i królu — wołał zbierając się do drogi starosta.

Chłopiec nic nie odpowiedział, spojrzał tylko na ziewającego starostę, na którego czole przy małym, słabo tlejącym kaganku, ujrzał guz wielkości kurzego jaja.

— Cóż stoisz i nic nie gadasz? — zapytał pan Fortunat.

— Nie mam nic do powiedzenia — odparł Niewdźyd. — A może znasz lekarstwo, żeby guzy i sińce z twarzy przędko zeszyły? — zapytał starosta.

— Jak się szlachta pobiła w Niewdźydowej Woli, to stara Maciecha błotem z nad stawu ich okładała.

— Brr! błotem... — wstrząsnął się starosta.

— A pozdrowieli... — nagle zapytał.

— Pewnie, że pozdrowieli.

— Przynieść błota! — zawołał starosta.

(d. c. n.)



Polowanie na strusie. (str. 174).

Wyprawa do bieguna południowego.

Przed dwoma niespełna laty, dnia 17 sierpnia 1897 r. starożytnie a handlowe miasto Antwerpia, przy ujściu Skaldy, poruszone było nadzwyczajnie. Na bulwarach panował ruch niezwykle, z całej Belgii przybyło dużo wybitniejszych ludzi. Ogniskiem, skupiającym ogólną ciekawość, był przedstawiony na rycinie naszej, niewielki trójmasztowiec „Belgica,” który pod dowództwem pułkownika Gerlacha, dnia tego właśnie miał odpłynąć ku przylądkowi Horn z zamiarem zbadania ziem i mórz, położonych na południe od Ameryki, i z nadzieją dotarcia, jeśli by to było możliwem, do bieguna południowego.

Na pokładzie tego statku znajdowało się dwóch Polaków: geolog Henryk Arctowski i Antoni Dobrowolski.

Sprawa wypraw do bieguna południowego od lat kilku zajmuje żywo świat naukowy, gdyż okolice jego są jeszcze bardziej niedostępne i mniej znane, niż bieguna północnego. Kto z naszych czytelników zna drukowaną w r. 1897 w „Wieczorach Rodzinnych” powieść Verne’a p. t. „Sfinks lodowy,” ten z łatwością przypomni sobie wyprawy podróżników z końca przeszłego i pierwszej połowy tego wieku, wspomni tu tylko, że najbliższym bieguna południowego, bo do 78° szerokości połud., dotarł w 1841 r. James Ross; od tego czasu nikt nie mógł posunąć się dalej, podczas gdy na północy Nansen osiągnął już prawie 87° szer. półn.

Kiedy w ciągu r. 1898 nie miano żadnej wiadomości o śmiałych żeglarzach belgijskich, powstał niepokój o ich losy; tymczasem w pierwszych dniach kwietnia przyszła do Europy wiadomość o pomyślnym powrocie „Belgica” do Punta Arenas, portu chilijskiego, najbardziej posuniętego na południe, a w miesiąc potem Arctowski i Dobrowolski na parowcu pocztowym przybyli do Hawru!

Wyprawa dokonała wielu badań, odkryć i spostrzeżeń, mających ważne znaczenie naukowe. W marcu 1898 roku niedaleko od odkrytej w r. 1821 ziemi Aleksandra, na 71° 36’ szer. połud. t. j. w odległości 2100 kilometrów od bieguna południowego, statek został uwięziony przez lody i prawie przez rok cały wydobyć się z nich nie mógł. Burze bywały częste i straszne, ale chłód nie był tak wielki, jak się obawiano. Najniższa temperatura wynosiła 42° niżej zera.

W każdym razie możemy powinszować naszym rodakom i ich towarzyszom szczęśliwego powrotu z tego państwa chłodu.

Polowanie na strusie.

Choć nie istnieje przysłowie: „pędzi, jak strus,” ale wielki ten ptak należy do pierwszorzędných szybkobiegaczy i trzeba mieć dobre i wytrwałego wierzchowca, aby go dogonić. Mieszkańcy obszernych pustyń afrykańskich wiedzą o tem dobrze, wszakże z zapalem polują na nie, bo pióra strusie są zawsze niezmiernie cenną ozdobą kapeluszy i wachlarzy damskich, a wojskowi używają ich niekiedy do pióropuszów i hełmów.

Przed laty polowano na strusie w sposób, który je dziesiątkował, bo dla zyskania kilkunastu piór zabijano zwierzę; obecnie inaczej już postępują. Oto zamiast broni palnej używają długiej, giętkiej laski z kulą u końca. Kiedy jeździec zbliży się dostatecznie do strusia, uderza go w głowę tą laską dość silnie, aby go chwilowo ogłuszyć, potem wyrwyją mu najpiękniejsze pióra i puszczają żywcem. Cała

więc trudność polega na tem, aby strusia dogonić i zręcznie w głowę uderzyć.

Oprócz tego w południowej Afryce hodują strusie, jak u nas gęsi, i od tych ptaków oswojonych mają najpiękniejsze, bo nieuszkodzone pióra. Strusie dają się łatwo oswoić a nawet używać do lżejszej pracy pociągowej; trzeba jednak mieć je zawsze na bacznosci, bo czasem miewają napady złości, podczas których zdarza się, iż zabijają znajdujące się przy nich osoby.

PAMIĘTNIK STEFANA

przepisała

A. Sadowska.

(Dokończenie).

Legenda o Panu Jezusie, Najświętszej Pannie, kłosie, psie i kocie.

Dawno już temu, bardzo dawno były takie czasy, że Chrystus Pan z Matką Najświętszą chodzili po świecie, żebrząc. A dawali im wszędzie co kto mógł, bogaty dużo, uboższy mniej, a nędzarz dzielił się choć kawałkiem czarnego chleba. I Serca Najświętsze rosły z radości, i Usta Najświętsze uśmiechały się dobrotliwie, i dobrze było i szczęśliwie. Aż raz owi Goście Niebiescy zakolatali do jednej chaty wieśniaczej; nikt zrazu nie wychodził, nagle rozwarły się drzwi i wypadła rozszluszczona niewiasta i zepsuta, niezdatny do jedzenia kołacz rzuciła żebrzącym pod nogi. Wtedy Chrystus Pan rozgniewał się wielce i postanowił niewdzięcznych ludzi ukarać, więc zbliżywszy się do pola, pokrytego dojrzewającym zbożem, chwycił jeden kłos w rękę, a były to kłosy wtedy całkiem inne, rosły od samej ziemi i jak ogromne kiście strzelały ku niebu. I oto Św. Ręka sunęła zwolna po kłosie, coraz wyżej, a ziarno znikało... znikało... już zaledwie odrobina chwieje się na wysokiej, nagej łodydze, a wtedy Matka Boża przypadła do Syna Swego i błaga: Złutuj się, zostaw choć troszeczkę, choć tę odrobinę na samym czubku... zmiłuj się zostaw, jeżeli nie dla człowieka, to dla psa i kota!

I Pan Jezus wysłuchał prośby Matki Swojej, lecz kłosy pozostały na zawsze małe i małe. Tymczasem pies i kot dostali pismo na dowód, że do nich należy płon cały, jaki zbierać będą ludzie na świecie. Pies, zwykle leniwy, nie umiał dokumentu przechować, a że wówczas jeszcze z kotami psy żyły w przyjaźni, więc pies prosi kota: Schowaj gdzie to ważne pismo! aby dobrze! Kot po namyśle idzie na strych i tam skarb w kącie ukrywa. Minęły miesiące, schudzony pies i zgłodniały kot napróżno o chleb i pożywienie się upominają, więc chcąc dowieść praw swoich i ów dokument pokazać, pies posyła poń kota; kot pędzi, szuka, i wraca zropanony. „Gdzie pismo?” pies wrzeszczy — „gdzie?” A kot odpowiada żałośnie: „Miau! miauu! (miauu! miauu!) ale nie ma!” Niestety, myszy zgrzyły ów dowód na strychu.

I oto początek nienawiści psa do kota, a kot znowu przysiągł zemstę myszom i wciąż je tępi, a tępi.

Dziwna legenda, ale ta Dokija to by cały dzień pleść mogła; opowiadała mi też ona jedną okropnie śmieszną bajkę: czemu rak ma z tyłu oczy? tego jednak nie opiszę, bo dobrze nie pamiętam.

3 Sierpniu.

Tatusz przyjechał! przywiózł nam wszystkim po pudełku cukierków, zaraz dam kilkanaście furmanowi Spirydono-

wi; najlepiej go lubię, ma pyszną czwórkę koni, jest ogromny jak pice, a jaki mocny! Gdy gdzie jedziemy pozwala mi powozić i batem wywijać... I pomyśleć, że to wszystko wkrótce się skończy!... Ciocia dostała od tatusia dwanaście ślicznych filiżanek, mama perfumy i rękawiczki a wujaszek torbę myśliwską.

Pół lata minęło! Mój Boże! po co ta zima? po co?

10 Sierpnia.

Oprowadzam wszędzie tatusia, żniwa już skończone. Leżdziemy spacerem na *futory*, są to ogrody wśród pola założone, rosną tam przeróżne owoce, stoją ule; *futornik* tego pilnuje, siedząc w małej chacie bez komina, a gdy pałą, słychać tłucze się po izbie, są to tak zwane *kurne ch. ty*. *Futory* te noszą różne nazwy np. Leśniczówka, Teresówka i t. p., ale w tej ostatniej jest krowa co bodzie i dla tego nosi deseczkę na oczach, mimo to dostrzegła mnie dzisiaj i zaczęła gonić, broniłem się odważnie, włączając na drzewo, nie moja wina, że spodnie rozdarły się od góry do dołu, zresztą były już stare!... Jest tu i staw, ryby dobrze biorą, wysznie umiem nawlekać robaka na haczyk, Józio nie może na to patrzeć, i za nic glizdy w rękę nie weźmie, ale ja sobie nic z tego nie robię i złapałem już raz cztery karaški.

Tak okropnie mi żal wsi, lata, znów do tego miasta wracać, znów lekcy! życie takie nudne z tą nauką, cała pościecha, że ciocia przyjedzie do nas na Boże Narodzenie, no! i konfiter przywiezie, będzie co jeść, a sliweczki na rożenkach takie pyszne! i gruszki w miodzie smażone...

Wołają mnie, jedziemy na orzechy.

20 Sierpnia.

Tak pusto w około, lokomobila wymłóciła sterty żyta i pszenicy; orzą, sieją na drugi rok, może i ja zobaczę te nowe zboża, a teraz kończę pisać, bo za pięć dni wyjeżdżamy. Żegnam cię dzienniczku, może kiedyś odczytam cię z przyjemnością, może i z żalem, bo tak wybornie już się chyba nigdy bawić nie będę.

SROCZKA

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

Pani Mirowska, Zosia, Marynia, Zygmus jej dzieci.
Karolek, Wańdzia, Jadwisia *rodzeństwo*. Walusia,

SCENA 1.

Zosia i Marynia siedzą przy stoliku z robótkami. Zygmus chodzi po pokoju i mówi z żywością.

Zygmus. Nadzwyczajnie miła ta nasza przyszła towarzyszyca. Jak to się dobrze złożyło, że nasi rodzice wezmą ją do swojego domu. Taka wesoła!

Marynia. To prawda, a nasze niedzielne zebranie, jakie będzie teraz ożywione!

Zygmus. Niezawodnie. Nie będziecie miały kłopotu, wemby gości zabawić. Bo ona tyle opowiadać umie.

Zosia. Umie, o umie; a widać, że i lubi. Podziwiałam dziś rano... pierwszy raz nas widziała, a taka była swobodna, tak bez przerwy mówiła o rozmaitych miejscowościach... wypadkach...

Zygmus (*przerzuwając*). Że Marynia a nawet Zosia nie znalazły miejsca na wtrącenie choćby jednego słoweczka. Biedziałyście, jak trusiątka!

Zosia (*grożąc bratu z uśmiechem*). Proszę nam nie przezwadzać, braciszku.

Marynia. Zresztą cóż dziwnego, że ona przyjemniejsza i zabawniejsza niż my? Przecież my wychowałyśmy się tylko tu, w Stanisławowie, a ona aż z Tarnopola przyjechała, a przedtem była we Lwowie, w Przemyślu, w Krakowie, tyle rzeczy widziała... słyszała...

Zosia. Hm... może... ona się i mnie podoba... jednakże dotąd...

Zygmus. Oho! już krytyka się zaczyna.

Zosia. Nie, nie! ja nie chciałam jej krytykować, tylko... Zresztą Walusia sama sobie winna, że nam daje czas na uwagi, czemu nie wraca?

Marynia. Mówiła, że ma coś do załatwienia na mieście, sprawunki czy wizyty. Szczęście, że miała jeszcze swoją opiekunkę, tę, która ją tu przywiozła, bo mama wyjszby z nią dziś nie mogła, a samej ze służącą nie puściłaby pewnie, tak jak nas nigdy nie puszcza.

Zygmus. Żeby tylko powróciła, nim się nasi goście zejda.

Marynia. Przyrzekła się pospieszyć, bardzo się nawet uradowała, dowiedziawszy się, że gości mieć będziemy. Mówiła, że bardzo lubi nowe znajomości. Ale otóż i Karolek.

SCENA 2.

(*Ciż sami, Karolek w mundurku uczniowskim, mina dzielna, włosy krótko obcięte*).

Karolek (*wbiegając*). Winszuję wam, winszuję!

Zygmus. Czego, Karolku? Czyżbyś już wiedział!

Karolek. O przybyciu tej elegantki z Tarnopola, Lwowa, Przemyśla i innych okolic? Wiem, o wiem! była u nas, bo z mojami siostrami *podobno, gdzieś, kiedyś* się spotkały. Wprawdzie one jej nie poznały i bardzo się zdziwiły, ujrawszy ją.

Zosia. Nie poznały jej! dla czego?

Karolek. Nawet nie pamiętały, że kiedyś tam, w czasie wystawy lwowskiej widziały ją raz w ogrodzie, ale ona mówiła, że pamięta je dobrze i koniecznie chce z niemi odnowić znajomość.

Marynia. No, to grzecznie z jej strony, bardzo grzecznie.

Karolek. Grzecznie?... zapewne. Ale jakoś było dziwnie! Ani mama, ani siostry nie wiedziały nawet jak ona się nazywa, przyszła sama, a raczej tak jak sama, bo tylko z panną służącą. Widziałem, że mama była bardzo zdziwiona, skąd tej panience przyszła ochota nas odwiedzić.

Marynia. Cóż Walusia mówiła u państwa?

Karolek (*śmiejąc się*). Co ona mówiła? a któż to spa pamiętać potrafi. Siadła na krzesle, naprzeciw mamy, i trze pała coś o Lwowie, Tarnopolu, Krynicy, o różnych przygodach, o osobach znanych i nieznanach.

Zygmus (*trochę z kwaśną miną*). Oho, widać, że już macie ochotę z niej się naśmiewać, ona bardzo jest przyjemna i wesoła.

Karolek. Prawda, mieliśmy ochotę, ale mama nam powiedziała: Nie sądźcie jej, zaczekajcie, zobaczymy jaką ona będzie, gdy jakiś czas u państwa Mirowskich zabawi, może się odmieni.

Marynia. Nasza mama także powiada, że biedna Walusia, która bardzo wczesnie straciła matkę, pozostawała dotąd pod opieką bardzo światowej pani, która własnych dzieci nie miała nigdy, a nie miała też ani czasu, ani ochoty do zajmowania się Walusią, dla tego mama chętnie zgodziła się na przyjęcie jej do domu, bo jej żal było Walusi, że się jakoś inaczej chowa, niż wszystkie dziewczynki.

Zygmus. Zdaje mi się, że już na schodach słyszę rozmowę i śmiechy (*do Karolka*), to pewnie twoje siostrzyczki nadchodzą.

SCENA 3.

Ciż sami — Wańdzia, Jadwisia, później Walusia.

Wańdzia i Jadwisia (*witając się*). Dobry wieczór, Zosiu! dobry wieczór Maryniu, cały tydzień cieszyliśmy się na waszą niedzielę.

Zosia. Kochane i dobre jesteście! Czy panna Felicya was odprowadziła?

Wańdzia. Tak, ale nie mogła tu wstąpić, przyjdzie po nas za dwie godziny.

Walusia (*wbiega, pretensjonalnie ubrana, mówi bardzo prędko, wita się ze wszystkimi z przesadzoną żywością*). Jak się macie! bardzo się cieszę, że się już nareszcie sprowadziłam do was ze wszystkimi kuferkami. Tak się spieszyłam, żeby jak najprędzej powrócić; tylko parę koniecznych wizyt oddałam dawnym znajomym, bo tego przecież grzeczność wymagała.

Zygmus. I my cieszymy się, żeś już do nas przybyła.

Marynia i Zosia (*całując ją*). Tak, cieszymy się bardzo.

Walusia. O, ja wiem! wszyscy lubią, kiedy przychodzę, śmiech i wesołość wnoszę ze sobą (*spozstrzega Jadwisie i Wańdzię*). Co ja widzę? moje kochane przyjaciółki! jak mi jest miło was widzieć! już się tak za wami stęskniłam!

Karolek (*na stronie*). Co za czułość niezasłużona!

Walusia (*do Zosi*). Bo wy może nie wiecie, że z temi panienkami jesteście dawne znajome; o, ja mam bardzo wiele przyjaciółek.

Jadwisia. Bardzoś szczęśliwa. Mama powiada, że to wielki skarb mieć przyjaciół.

Walusia. O, zaręczam wam, że to wcale nie trudno, gdzie się tylko przyjedzie, zaraz nowi znajomi, a co się spotka ludzi na kolejach (*siada na najwygodniejszym fotelu wysuniętym na środek pokoju, opierając się mówi dalej*). Ach, jakaż ja jestem zmęczona! tak dużo musiałam chodzić po tej waszej mieścinie.

Karolek. Mieścinie? proszę! Ho, ho!

Walusia (*robiąc pogardliwą minkę*). No, pewnie, że kto tyle podróżował, co ja, to tego przecież nie nazwie dużym miastem. Moi kochani, wy może nie wiecie, że ja jeździłam (*z przesadą*) „po Europie.”

Wańdzia. Naturalnie, że musiałaś jeździć „po Europie,” ażeby zajechać do Stanisławowa, bo to miasto nie leży w Azji ani w Ameryce.

Walusia. Ach, mój Boże, ja przecież nie mówię o mej ostatniej podróży z Tarnopola do Stanisławowa; mówię o tem, że zwiedziłam Wiedeń, Peszt, Berlin, Kraków.

Zygmus. I Kraków także? jakaś ty szczęśliwa! opowiedz nam co o Krakowie.

Walusia (*namyślając się*). Właściwie... nie ma co tak dalece opowiadać. Ot, sobie miasto, nawet nie bardzo ładne.

Wańdzia. Ależ przecie tyle tam jest starożytnych gmachów, pamiątek historycznych

Walusia. No, tak, zapewne. Ale ja się tem nie za-

chwycam. Cóż to tak bardzo ciekawego, że jakaś kamienica czterysta lat stoi? ja przecież wolę nową, porządnie zbudowaną, z widnemi schodami. (*wszystkie dzieci robią dziwne miny*).

Marynia. Nie podzielałam wcale zdania Walusi; ja tak pragnę być w Krakowie, żeby zobaczyć te wszystkie stare gmachy, przypominające nam świetne chwile przeszłości.

Karolek (*złościwie*). Ale Walusia może woli wystawę z kapeluszami, to daleko więcej zajmujące.

Walusia (*zmieszana jego tonem*). Tego nie mówiłam — i owszem, ja także wszystko zwiedzałam z ciekawością, ale nie mogę się tak łatwo, jak wy, lada czem zachwycać, bo już za wiele podróżowałam, jestem „wytrawną turystką.”

Dzieci (*razem*). Co to znaczy „wytrawną turystką.”

Walusia (*z miną pełną wyższości*). Nie wiecie tego? To taka osoba, która podróżuje po wszystkich krajach; wszędzie ogląda rozmaite osobliwości, zna się na wszystkim.

Zosia. No, chyba ty Walusiu jesteś za młoda, aby już znać się na wszystkim.

Walusia. Właśnie, że się znam: na muzyce, malarstwie, architekturze i innych sztukach pięknych. Podróże bardzo kształcą.

Zygmus (*z uznaniem*). No, to prawda; nieraz już o tem słyszałem.

Walusia. Ja potrzebuję tylko spojrzeć, aby poznać, co jest piękne. W Krakowie np. ze wszystkich kościołów, podobał mi się najlepiej kościół św. Jura.

Wańdzia i Jadwisia (*ze zdumieniem*). W Krakowie?... chyba we Lwowie.

Walusia. Ależ właśnie w Krakowie; pamiętam dobrze. (*dzieci ruszają ramionami*).

Marynia (*na stronie*). Co ona wygaduje?

Walusia (*patrząc na pamiętki*). Czemuż się śmiejecie i robicie takie dziwne miny.

Karolek. Bo w Krakowie niema kościoła św. Jura, tylko we Lwowie.

Walusia (*zmieszana i niezadowolona*). Dajcie mi pokój, przecież nie zdaję egzaminu z geografii. Zresztą być może, że mi się Kraków ze Lwowem pomieszał, kto tyle podróżował, co ja, temu się może jedno miasto z drugim pobałamucić.

Zygmus. Tak, każdy się może omylić.

Karolek (*cicho do Zygmuś*). Piękna omyłka, wiesz.

Walusia (*wpadając znowu w zapal*). Ach, jak to przyjemnie podróżować! wy się musicie okropnie nudzić, mieszczając zawsze w jednym i tem samym mieście.

Marynia. Cóż znowu, alboż się można w domu nudzić? uczymy się dosyć same i z mamą; po południu chodzimy z rodzicami na spacer; wieczorem czytamy głośno.

A. Skibniewska.

(d. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3¼ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Skroplone powietrze przez Władysława Umińskiego (z ryc.) — Jan Niewdźyd, powieść z dawnych czasów p. Z. Morawską. — Wyprawa do bieguna południowego (z ryc.) — Polowanie na strusie (z ryc.) — Pamiętnik Stefana, przepisała A. Sadowska. — Srocza, komedycja w jednym akcie. — Dodatek: List Ignasia (z ryc.) — Bóg dobry, wiersz przez Franciszka Marca. — Wojna białej i czerwonej róży w klasie, p. Annę Jasienską. — Skrzydła odwagi. — Łamigłównki i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Trzydzieści lat wśród dzikich, przygody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerya Marrene.

WIECZORY RODZINNE



Tatusiu mój drogi!

Kasia powiedziała, że ja nie potrafię napisać takiego listu, jak ona. Byłem ciekawy, dla czego ona tak myśli, kiedy ja przecież jestem od niej starszy o cały rok i dobrze pisać już umiem. A ona powiedziała: „bo nie narysujesz Kizi, tak jak ją narysowałam.“ A ja powiedziałem, tylko nie do niej, ale do siebie po cichu. Kizi nie narysuję, bo nie lubię kotów, ale dla Tatusia narysuję Budrysa, bo go Tatus najchętniej lubi. Pewno się Kasia zadziwi, jak zobaczy Budrysa na początku mego listu. Bardzo był grzeczny, jakem go rysował, siedział spokojnie i dał sobie włożyć na głowę kapelusz, który mu zrobiłem z papieru i z takim ładnym piórem na boku. Czy się też Tatus ucieszył z portretu Budrysa? Na powrót Tatusia i Mamusi, cieszymy się oboje jeszcze

więcej, niż na obiecane zabawki, chociaż Kasia przygotowała już najładniejszy kącik w dzieciennym pokoju na łóżeczko z nową lalką, a ja to już wbitem dwa gwoździe w ścianę na pałasz i fuzyjkę.

Panna Ludwika nie gniewała się na nas ani razu, bo nie było jeszcze potrzeby. W stajni bywam codzien z Franciszkiem, wszystkie konie zdrowe, dzięki Bogu, a Halma już nie kuleje. Na kucyku jeżdżę tylko naokoło dziedzińca, tak jak Tatus kazał i bardzo już będę rad, jak pojedę z Tatusiem w pole.

Czy z tej fuzyjki, o której Mamusia pisała, będę mógł strzelać do zajęcy?

Nie mam już nic więcej do doniesienia, więc całuję rączki Mamusi i Tatusia.

Przywiązany syn

Ignas. *przyjmi
ze on zabił*

Bóg dobry.

Na niebie jasna gwiazdka
Lśni blaskiem w ciemną noc, —
Tysiące lat tam błyszczą,
Oznajmia Bożą moc.

A dziecię patrzy w niebo,
Podziwia Boży cud —
I myśli: „Jak Bóg dobry!
Jak swój ukochał lud.”

W powietrzu mały ptaszek
Weseli Boży świąt,
A wietrzyk szumi liściem,
Otrząsa z rosy kwiat.

A dziecię kocha Boga,
I dzieło Jego rąk,
I słucha śpiewu ptasząt,
I zbiera kwiaty z łąk.

Roślina, która w ziemi
Korzenie swoje ma,
Do blasku słońca dąży,
Bo to jej życie da.

I człowiek tak jak kwiatek
W niebieską patrzy toń,
Bo stamtąd oko Boże
Spogląda zawsze doń!

Franciszek Marzec.

Wojna białej i czerwonej róży w klasie.

Piękny, mroźny dzień styczniowy zbliżał się ku końcowi. Śnieg przykrył białym całunem ulice Warszawy, bo choć stróże bezustannie omiatają chodniki, jednak wiatr, ten figlarz wielki, znowu ciągle nanosi śnieg i niszczy ich pracę. W dali błysnęło światło jedno, drugie, trzecie, potem dziesięć, teraz już nawet zliczyć ich nie można: to latarnie gazowe, swem migotaniem wywołują iskierki w śniegu. Iskierki tych mnóstwo; przewyższają one nawet liczbę gwiazdek na wyiskrzonym niebie. Za światełkami i iskierkami w śniegu, za gwiazdami na niebie pojawiają się liczne światła w wystawach sklepowych i w domach. W jednym z domów na ulicy Marszałkowskiej, w pokoiku, ciepłym i wesołym jak gniazdeczko, siedzi dziewczynka przy stoliku i, jak się zdaje, ma zamiar się uczyć; tymczasem jednak pociera ręką czoło, jakby sobie coś przypomnieć chciała.

— Co to my mamy zadane na jutro z historii powszechnej? A! wojnę białej i czerwonej róży! Żeby mnie kto zabił, to nic a nic nie rozumiem, a co prawda nie często mi się to zdarza!

To mówiąc, Hania M., uczennica jednej z pensji warszawskich, uśmiechnęła się z zadowoleniem. Była

pierwszą uczennicą. Kochali ją rodzice, przełożona i nauczycielki, przepadały za nią rówieśnice i koleżanki; bo i jakżeż jej było nie kochać? Zawsze posłuszna i usłużna, kochająca rodziców, pilna i grzeczna dla przełożonych, serdeczna dla koleżanek, umiała zapłakać nad nieszczęściem i prawdziwą niedolą, i odczuć troskę bliźniego.

Bóg też łaskaw był dla niej, dając kochających rodziców, którzy mając dostatki, nie oszczędzili też kosztów na jej naukę. Nie marnowała dobra Hania darów Bożych, uczyła się doskonale i byłaby zupełnie szczęśliwą... ale, (gdyż znalazło się ale) miała niebezpieczną współzawodniczkę w osobie Zosi L. To jej nie dawało spokoju. I dziwna rzecz: do tego tak szlachetnego serduszka, zaczęła się wkradać niepostrzeżenie zazdrość..

W zeszłym kwartale Zosia mało co gorszą miała od niej cenzurę i Hania choć otrzymała same prawie piątki, choć ją pochwaliła przełożona a rodzice byli zadowoleni, zamknęła się w swoim pokoju i płakała, jakby jej serce pęknąć miało, i ani pieszczota pieska Filusia, ani śpiew kanarka rozweselić jej nie mogły. W końcu zapytała siebie: — Czego ja płaczę? — i odpowiedziała: — To pewno ze smutku jakiegoś, który mię napadł; — i płakała jeszcze gorzej i szlochała jeszcze mocniej, jakby chciała zagłuszyć w sobie głos sumienia, który szeptał: „z zazdrości!”

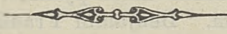
Otóż Hania siedzi w swoim pokoiku i jakoś nie może się zabrać do tej historii powszechnej; czuje się niezmiernie zmęczoną lekcyami i senną. Przemyka oczy i zaczyna rozmyślać nad tem, że już od początku roku z tą Zosią toczy coś w rodzaju wojny, i że każda z nich ma swe stronnictwo w klasie. Ale uczyć się trzeba. Jutro pewno odpowiadać będzie, a tu jak na złość tej wojny białej i czerwonej róży w Anglii zrozumieć nie może i wszystko mięsza się w jej głowie. Wydało się jej, że jest w klasie, która jednak zupełnie jakoś się przeistoczyła. Ławek tam niema, koleżanki składają dwa odrębne obozy; w jednym z nich Zosia jest wodzem, a nad jej głową powiewa sztandar z czerwoną różą, w drugim zaś.. czy ją wzrok nie myli? Toż to ona, ona sama walczyć będzie pod sztandarem róży białej!

Ustawia więc swe wojsko, pewna zwycięstwa, bo po jej stronie liczba koleżanek uzbrojonych w linie i pióra przewyższa liczbę nieprzyjaciół. Hania pierwsza z okrzykiem wojennym rzuca się na hufce swej przeciwniczki. Słychać trzask łamanych linii i piór, i wkrótce nad polem bitwy powiewa biała róża... Hania zwyciężyła. U nóg jej leży pokonana Zosia. Nagle zdaje się Hani, że ktoś jej szepnął do uszka: „Haniu, zwyciężyłaś! Zosia pokonana! Lecz spojrzij, z jakim wyrzutem patrzy ona na ciebie! Czyś względem niej nie zawiniła? Czy ci serduszko nie nie wyrzuci? — I oto w jednym mgnieniu oka Hania z płaczem rzuca się ku swej przeciwniczce i woła: „Zosiu, jaka ja niedobra, jaka niegodziwa, zazdrościłam ci, cieszyłam się z twego niepowodzenia! Czy możesz mi przebaczyć? Ja już nigdy tego nie zrobię, będę ci z całego serca pomagała, i będziemy obie pierwszymi uczennicami!”

Za całą odpowiedź Zosia zarzuciła jej obie ręce na szyję i uściskała serdecznie. A Hania żałuje swego postępowania, i chciałaby wszystko złe wyrządzone Zosi w jednej chwili wynagrodzić!..

Nadszedł dzień radosny i upragniony przez wszystkie uczennice, dzień popisu. Wśród uroczystej ciszy wywołują nazwiska uczennic nagrodzonych. Lecz cóż to? „Zosia L. i Hania M. pierwsze nagrody.” Wychodzą obie, radośnie uśmiechnięte, a odebrawszy zasłużone nagrody, biegają pochwalić się niemi przed rodzicami. A Hani do uszka coś szepcze: „Haniu, przewyciężyłaś siebie i swoją największą wadę! To podwójne i prawdziwe zwycięstwo!”

Anna Jasińska.



SKRZYDŁA ODWAGI.

(Dalszy ciąg).

Pogoda ustaliła się; wilgotne wybrzeże wysychało, ogrzewane ciepłymi promieniami wiosennego słońca, i stawało się wygodnym gościńcem.

Razu jednego Marcinek dostrzegł na nim zdala kilku przechodniów; serce silnie bić mu zaczęło, miał ochotę pobiedz ku nim, przemówić słów kilka, ale nie śmiał, bo gdyby go zapytano: co on za jeden? co tu porabia? nie umiałby odpowiedzieć. Wiedział, że włóczęgów karzą surowo, a na usprawiedliwienie swoje wymyślać jakiejś kłamliwej historii nie chciał; wolał nie pokazywać się wcale.

Jednego rana wiatr wschodni przyniósł mu odgłos dzwonów z sąsiedniego miasteczka; przypomniał sobie, że to była niedziela. Umył się staranniej, przyczesał włosy, włożył nowsze ubranie i puścił się na przechadzkę, sam nie wiedząc dokąd.

W niedzielę chodził zwykle z matką do kościoła; po nabożeństwie, witał się ze spotkanymi krewnymi i znajomymi, a po obiedzie bawił się wesoło z rówieśnikami. Ten odgłos dzwonów przyzywał go do rodzinnej zagrody! I smutno mu było dzień niedzielny spędzić samotnie!

Gdyby choć spotkać Franka, dowiedzieć się od niego co się dzieje w domu? jak się miewa matka? czy ojciec bardzo zagniewany? Tęsknił do swoich najbliższych, a tak spragniony był widoku ludzi, że szedł śmiało naprzód.

Szkaradny krawiec oddawna już musiał opuścić te strony.

Niebawem znalazł się w mieście, a nie znając tam nikogo spodziewał się, że też niczyjej nie zwróci uwagi; zobaczy tylko ludzkie twarze, usłyszy tylko ludzką mowę i powróci na swoje pustkowie; zadziwiło go też niemało gdy wszedłszy na rynek zauważył, że wszyscy oglądają się za nim ciekawie.

V.

Zaniepokojony, chciał już zawrócić, ale widok świeżego chleba w sklepie tak silną był pokusą, że wszedł do piekarni, ażeby kupić bochenek.

— Ile funtów chleba żądasz, mój mały? — spytał piekarz, przyglądając mu się z pewnem zdziwieniem.

— Proszę o jaknajwiększy bochenek — odpowiedział Marcinek, chcąc zrobić zapas na czas dłuższy.

— Mogę ci dać kilka bochenków, jeśli taki ciężar udźwigniesz — żartował z niego piekarz.

— Kupię takie trzy duże chleby — odparł chłopiec urażony żartem.

— Na co taki zapas? Czy macie liczną czeladź w domu?

— Być może — odciął krótko Marcinek, nie umiając się zdobyć na kłamstwo.

— Ho, ho! widzę, dumny jesteś, mój chłopcze, nie lubisz pogawędzić z uczciwymi ludźmi. Widzę, żeś nie tutejszy, nie chcesz powiedzieć kto jesteś?

— Mieszkam w dalszych stronach, a nie rozmawiam, bo nie ma czasu na gawędkę — tłumaczył się Marcinek. — Proszę powiedzieć, ile się za chleb należy?

— Musiałbyś zapłacić dużo pieniędzy; chleb u nas na przednówku drogi, ale możemy zrobić z sobą umowę: jeśli mi dasz te trzy pióra za czapkę zatkniętą, to ci przez cały miesiąc po trzy takie bochenki tygodniowo dawać obiecuje.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Ułożyła Elżunia i Romek z Petersburga.

D. ł. m w. ch. r c. żk. chm. ry n.
 O sk. l. st. r. ztr. c. rw. sk. ;
 B. rz. h. cz. p. zcz. rn. ł. m l. s.
 . gr. m. m. w gł. b w. w. z. w c. sk.
 . t. m w g. rz. , gdz. n. w. ższ. szcz. t. ,
 Lśn. p. g. dn. k d. wn. j b. l. k. t.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Od Białej Róży dla Laszki.

. Zastąpić kropki literami,
 aby pierwszy wiersz oraz
 pierwsze litery, złożyły imię
 i nazwisko niezującego poety pol-
 skiego. Rząd 2) Miasto w Palesty-
 nie. 3) Miasto w Szwajcaryi. 4) Miasto
 we Francyi. 5) Imię żeńskie. 6) Słynny po-
 dróżnik z ostatnich czasów. 7) Miasto na Wę-
 grzech słynne z wyrobu wina. 8) Miasto w Anglii.
 9) Ptak z rodz. grzebiących. 10) Rzeka w Syberyi.
 11) Spółgłoska.

ZAGADKA 1-a.

Ułożyła Lilijka.

Na *L* stoję nad brzegiem Bystrzycy
 Na *D* swoim zwą mnie Irlandczycy.

ZAGADKA 2-ga

Jedna spółgłoska w drugiej, nazwa ich jednaka,
 Razem zaś złożą imię znanego nam ptaka.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 20-go.

Szurady: Sie — la — wy.

Łamigłówki zgłoskowej:

Niema róży bez kolców.

Łamigłówki sylabowej:

- 1) Irtysz. 2) Galia. 3) Narew. 4) Anglia. 5) Cejlon. 6) York.
7) Peru. 8) Alpy. 9) Dania. 10) Elba. 11) Rumunia. 12) Etna.
13) Wilno. 14) Sawa. 15) Kandya. 16) Inn.
Ignacy Paderewski.

Zadania arytmetycznego:

Jaś i Gucio dzielili orzechy w ten sposób, że ile razy jeden z nich odłożył dla siebie 2, drugi równocześnie odkładał 5, to jest razem odkładali po 7 orzechów. Jeden zatem dostał tyle razy po 2, a drugi po 5 orzechów, ile razy 7 mieści się 224: — $224 : 7 = 32$. Jaś dostał 32 razy po 2 orzechy — $2 \times 32 = 64$ a Gucio 32 razy po 5, $32 \times 5 = 160$. ($160 + 64 = 224$).

Skrzynka do listów.



Pani M. B. W ogóle podręczników stylistyki polskiej mamy b. niewiele; z dawniej używanych znana jest stylistyka Mecherzyńskiego, z nowszych, dziełko Wł. Weychertówny pod. tyt. *Teorya prozy i poezyi*. Nakład M. Arcta. Cena w oprawie kart. 70 kop. — Przystępnie dla młodego wieku, z wielką znajomością rzeczy traktowanym, a zarazem b. zajmującym jest podręcznik botaniki M. Zaleskiej p. tyt. *Świat roślinny*, cena książki zdobnej licznymi rycinami 2 rub. kop. — Geografia Nałkowskiego zdaje mi się być jak najlepiej wybrana, co zaś do atlasu, to z polskimi napisami oprócz Kozenny, znany jest tylko bardzo szczegółowy atlas, wydany nakładem redakcyi Wędrowca. Cena jego rub. 16.

P. Maryi Rut. Wiersze są słabe, jeszcze względnie naj- najlepszy „Wschód Słońca.” Jest wiele wyrażeń nietylko niepoetycznych, ale wprost nieprawidłowych, któreby w prozie ująć nie mogły. Zdania mgliste, dużo słów niepotrzebnych, tylko dla rytmu i rymu pomieszczonych. Czy talent jest, trudno osądzić z tych prób, w każdym razie trzeba się wczytywać w dobrych poetów i pisarzy i poznać teorię stylistyki i poetyki.

Od **Gucia, Jadwińci, Wandzi** i ich **Babuni** rub. 5 dla biednych dzieci otrzymaliśmy.

Jadzi Szem. w Tule zaginiony numer wysłano.

Figlarce. Pod pseudonymem **Sarenki** pisuje już jedna z czytelniczek, radzimy więc, abyś lepiej pozostała przy swoim, lub jaki inny obrała. Rozwiązanie łamigłówki dobre; łamigłówkę i szaradę ułożone przez ciebie przejrzymy.

Pani M. Lud. Adres zmieniamy i odtąd Wieczory pod wskazanym wysyłać będziemy.

Hamilkar z nad Newy, Kazimierz Kon., Peretka, Antoni Sok., Eugenia i Ewelina Mach., przysłali dobre rozwiązania łamigłówkę i zadań: arytmetycznego i liczbowego.

Po otrzymaniu dokładnych adresów i marek na przesyłkę pocztową wysłaliśmy nagrody dla: **M'Bongwele, Lualamby, Goga, Słowika Juchnowieckiego, Gustawa Lip., Gieni Sum., Alicyi Szt.**

Dziwiłam się rzeczywiście dlaczego to, **Orle**, tak dawno an słówkiem nie odzywałeś się do mnie, skoro zaś w ostatnim twoim liściku otrzymałam odpowiedź na to pytanie, nawzajem na twoje odpowiedzieć pospieszam. Benjamin Franklin umarł w Pensylwanii w roku 1790. Łamigłówki wkrótce będą osądzone.

Konwalii Leśnej wdzięczną jestem za jej pocztową o mnie pamięć. Listy twoje bardzo są zajmujące, tylko zawsze powtarzam przyjacielską radę: bacz pilnie na czystość języka, styl i ortografię. Przy twoich zdolnościach sądzę, że ci to przyjdzie bez wielkiego trudu i wkrótce pisownia twoja, podobnie jak treść, nic do życzenia pozostawiać nie będzie. Bardzo cię proszę byś mi doniosła o swem zdrowiu i podzieliła wrażeniami z pięknych okolic Alpejskich. Szarady złożyłam w redakcyi.

Janince B. Bardzo był mi miły, jak na ośm lat, dobrze napisany serdeczny twój liścik. Spodziewam się, że teraz będziesz już do mnie częściej piływała, donosząc mi o sobie, o swej sześćdziesięcioletniej siostrzyczce, która z taką przyjemnością słucha, gdy jej czytujesz „Wieczory”, a także o trzech małych braciszkach; donieś mi najprzód, jak im wszystkim na imie i czy uznają powagę najstarszej siostrzyczki? O prośbie twej nie zapominam i gdy znajdę odpowiedni wierszyk, to go przepiszę i pošlę ci pocztą.

Czarnemu Żuczkwowi wysłamy numer „Wieczorów” po raz wtóry zaginiony na poczcie. Zupełnie wyrozumiałą jestem, że mając lekcye, a po lekcjach tak mile zajęcie jak urządzenie ogródka, kopanie, sianie kwiatów i t. d. na pisanie listów brak ci czasu. I w ostatnim znać pośpiechu i roztargnieniu, bo niejedną zmyłkę znalazłam, ale to wszystkiemu wiosna winna, nieprawdaż? Powiastka dołączona do listu, przepisana czy też przerobiona z czegoś, do druku zupełnie się nie nadaje.

Premium żądane za mojem pośrednictwem przez **Lilijkę z nad Świsłoczki** Redakcyja wysłała.

Wiesiowi P. Przysłane łamigłówki Redakcyja przejrzy, na pytanie ponieważ zależało na pośpiechu odpowiedziałam listownie.

Nazwisko twoje **Sarenko Modrooka** odgadłam z łatwością początkowe litery: Szan..... Chętnie odpisywać ci będę, tylko mam nadzieję, że w przysługującym liściku więcej mi wiadomości udzielisz, a wtedy i ja z dłuższą odpowiedzią popieszę.

Bardzo się cieszę, że odpowiedź dana twej siostrzyczce **Kalinie** i ciebie **Cierniku** skłoniła do listownego poznajomienia się ze mną. Pojmuję jak się cieszysz na wakacje i wyjazd na wieś, ja nie mniej od ciebie wyglądam chwili, w której wyruszę poza mury miasta. Siostrzyczkom twoim za pamięć dziękuję. Szaradę przejrzymy.

Orzeł 10-cio letni niechaj przeczyta uważnie sprawozdanie z konkursu, a z łatwością zrozumie, komu zostały przyznane nagrody, a komu pochwały.

Jaskółka.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

W. Z. z Rgelewa rub. 2. — M. W. rub. 3. — Jadwiga Bojańczyk rub. 14. — Elżunia i Romek z Petersburga rub. 8. — Elżunia O. rub. 1.

Dla biednych dzieci: Bezimiennie kop. 50. — Gucio, Jadwińcia i ich Babunia rub. 5.

